

Wspomnienie o Wojtku Sewerynie

Wspominamy Go, każdy z nas nieco inaczej. Wspólnym mianownikiem była zawsze Muzyka i Gitara. Teraz gra w niebiańskiej orkiestrze, w której wszystko „się zgadza”, jazzując z tymi, których już tam wcześniej powołano. Poniżej garść wspomnień o Nim. Takim Go zapamiętaliśmy z czasów, kiedy grał dla nas.

**Michał CHOMICZ, Londyn,
marzec 2005**

Wrocław, zima 1986 r.

Dzwonek do drzwi. Tylko bliscy znajomi znają dzwonkowy szyfr. Zwlekam się ospale, jakoś trzeba rozpocząć nowy dzień. W drzwiach twarz dobrze znana, porozumiewawczy uśmiech. Wszystko wiemy, więc nie szastamy niepotrzebnymi słowami. Siadamy w fotelach, magnetofon, okna zasłonięte. Gruby podnosi z pieca wosło.

Chomiczówka, nasz azyl, sanktuarium pełne „normalnych” dźwięków, rozmów o muzyce, marzeń o przyszłości. Jedno z normalnych miejsc na tym nienormalnym świecie. Muzyka sęczy się z gratów wspomagana żywym dźwiękiem. Nasze życie, nasz klimat, pozwala nam zachować odrobinę normalności.

Za fotelem. Jest. Dwie puchy i zgnieciona paczka miękkich Marlborasów. Świadkowie ostatniego całonocnego grania, najmilej w tej chwili widziani, zakupieni za ostatnie bony. Wszystko zaczyna się zgadzać. Chyba jesteśmy szczęśliwi. Za chwilę ma wpaść jeszcze Olo. Czekamy uśmiechnięci.

– Wiesz, może kiedyś tak będzie mogło być każdego dnia.

Gruby spogląda wymownie na palącego się papierosa.

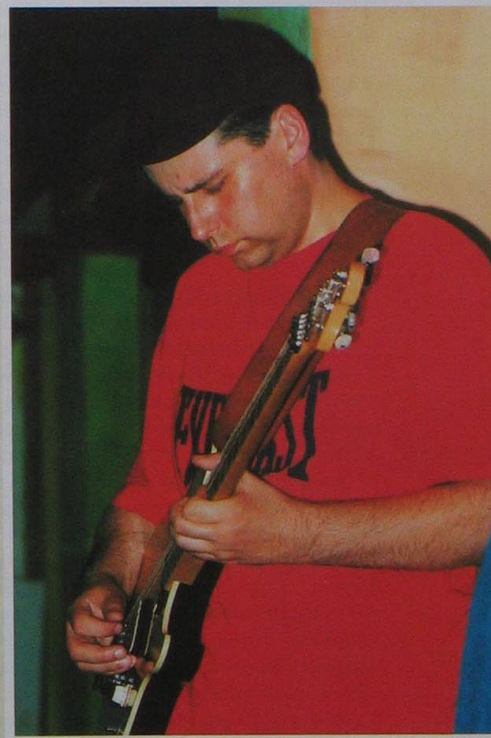
– Kto wie?

Londyn, zima 2005 r.

Siedzę czasami w fotelu sącząc dobre wino. Wszystko się zgadza. Widziałem pół świata, nawet Marlboro jest w twardym opakowaniu. Oddałbym jednak wszystko, bym mógł ponownie znaleźć za fotelem zgniecioną paczkę miękkich Marlborasów, by w fotelu obok siedział Wojtek, a za chwilę miał przyjść Olo.



Wojtek z pierwszą „profesjonalną” gitarą Defil Jola2”



**Artur LIPIŃSKI, Warszawa,
czerwiec 2005**

Moja znajomość z Wojtkiem, to wspólne granie i przyjaźń. Graliśmy razem w ostatnim Jego trio. Wojtuś był wspaniałym przyjacielem i gitarzystą. Bardzo ambitnym i świadomym muzykiem. Grał oryginalnie. Stworzył swój własny styl. Mam wiele nagrań ze wspólnych prób, których przez bardzo długi czas nie byłem w stanie słuchać. Jest to bezcenna pamiątka, która przypomina mi Wojtkę. Można powiedzieć, że jaki był – tak grał.

Wojtuś był bardzo ceniony wśród muzyków. Zawsze chciał więcej, planował wyjazd do Kanady, nagranie tam szkoły na gitarę. Był niesamowitym człowiekiem, nie miał żadnych wrogów. Czasem sprawiał wrażenie zamkniętego w sobie. Wszyscy wypowiadali się o Nim w samych superlatywach. Tak naprawdę nie potrafię pisać o Wojtusiu... był moim przyjacielem i długo nie mogłem się zebrać, bardzo mi go brakuje.

Lech JANERKA, Wrocław, maj 2005

Spotkaliśmy się podchodząc do pierwszych wersji piosenek z płyty „Bruhaha”. Grał te wszystkie gitarki jakby od niechcenia, filuternie zerkając czy za Nim nadążamy. Z tym było już różnie, ale Wojtek nigdy nie robił z tego powodu większych problemów.

Wbrew powszechnym opiniom nawet w zespole rockowym musi być Ktoś, kto umie grać i trzymać poziom. W naszym zespole tym Kimś był Wojtek. Pan „mało gadania dużo grania”. I ten Jego uśmiech...

Uwielbiał Mozarta, słuchał jazzu, lubił dramaty Schaffera.

Piotr BARON, Wrocław, maj 2005

So long, fare well, Wojtek

Wojtka spotkałem pierwszy raz w Bolesławcu na jam session po kolejnym dniu warsztatów przy okazji festiwalu „Blues nad Bobrem 1996”. To było w pubie Brytania (nie ma już tego pubu, teraz jest tam stacja benzynowa), przy barze, stałem rozbawiony i popijałem z Andrzejem Pluszczem, kiedy nagle podszedł chłopak, który wyglądał mi bardziej na uczestnika, niż na wykładowcę. „A kto ty jesteś chłopczyku?” – zapytałem. „Ja jestem ten, co trzeba.” – odpyskował i tak zaczęła się nasza przyjaźń. On rockowiec. Ja jazzista. Dwa światy na ogół odrębne. Zaskoczyło od razu.

Chwilę potem zamieszkałem z moją obecną żoną blisko Wojtka. Nigdy nie uprzedzał. Przychodził w najmniej odpowiedniej chwili anonsując się: „Cześć, jestem”. Nigdy nie miał za złe zakłopotanych wyjaśnień, że my właśnie coś tam tego, konkludował: „...to ja przyjdę potem. Na razie!” Zawsze skory do pomocy. Kiedyś pojechał ze mną z Wrocławia do Malborka ciągnąc lawetę, bo właśnie w Malborku było niezwykle tanie nadwozie do Cadillaca Seville 1976, jakim wtedy uśmiałem jeździć. To była długa podróż, długa historia – może kiedyś ją opowiem. Graliśmy razem okazjonalnie i sporadycznie, tam gdzie rock ocierał się o jazz i na odwrót, ja zapraszałem Go do jakichś nagrań, On miał zaprosić mnie do płyty... Wzajemnie pytałyśmy się o zdanie w ważnych sprawach muzycznych, artystycznych, sprzętowych, samochodowych, szanowaliśmy zawsze opinię tego drugiego, aczkolwiek nie raz żarliśmy się ostro o własne racje. Nie pamiętam, żeby Wojtek



„Blues nad Bobrem”. Od lewej: Wojtek Seweryn – gitara, Włodek Krakus – bas, Piotr Baron – tenor sax.

kogoś nie lubił. Nawet jeżeli, to nie mówił o tym. Lubił pierogi i piwo. Palił mentolowe papierosy. Wyznawał teorię zależności między jadłospisem a grupą krwi, bo lubił mięso, ale kochał zwierzęta, a teoria ta pozwalała mu jeść mięso bez poczucia winy. Był domatorem maksymalnym. Uwielbiał córkę, cały czas zakochany w żonie. Był uosobieniem tolerancji okraszanej własnym zdaniem w każdej sprawie. Kochał gitary, wszystkie gitary świata. Najbardziej Strata i Les Paula. Słuchał każdej muzyki, która mogła Go zainspirować niekoniecznie twórczo, czytaj: jakkolwiek. Był uosobieniem mozolnego docierania do wytyczonego celu i uporu, nieodzownego w tego celu osiągnięciu. Osiągał szczyty i natychmiast zajmował się czymś innym, czymś nowym, ciekawszym. Nigdy nie zapomnę tych kilku jamów w Bolesławcu, kiedy Wojtek grał bluesa. On cały czas go gra, ilekroć sobie przypomnę tamten zapach, barwę, brzmienie, pamiętam, cholernie dobrze pamiętam...

Nie próbuję zastąpić nikim i niczym pustki pozostawionej po Jego odejściu. Nie da się, i dobrze. Każdy z nas jest jeden, jedyny, niepowtarzalny i chwala Bogu za to. Gdyby nie moja wiara w zmartwychwstanie Jezusa, płakałbym za Wojtkiem gorzko. A tak powiem tylko DO ZOBACZENIA PRZYJACIELU! ALLELUJA! AMEN!

Marek RADULI

Wojtka wspominam jako jednego z wybitniejszych muzyków-artystów i fachowców, jakich spotkałem na swojej drodze artystycznej. Mówię o tym bez kozery, ponieważ w momencie, gdy ukazały się obydwie jego szkoły na gitarę: „Gitarę rockową” oraz „Gitarę rockową bez tajemnic” okazało się, że wiedza zawarta w tych książkach służyła nie tylko młodzieży, ale również moim kolegom, a przede wszystkim mnie samemu. Zawarł w nich wiedzę o stosowaniu grania skalowego, które zgłębił i rozszerzył w oparciu o swoją twórczość.

Przypomina mi się tutaj anegdota, którą często opowiadał, że gdy się do tego



Sesja z Krzysztofem Ścierańskim – bas.

zabierał, nie miał bladego pojęcia, że jest tyle skal i że jest w tym taka różnorodność tematyczna. Wtedy sprawdziła się rewolucyjna zasada, że jeżeli się człowiek na czymś nie zna to powinien zabrać się do napisania o tym książki. To stwierdzenie utkwiło mi bardzo w pamięci, bo jest w nim zawarta kwintesencja pracy nad sobą.

Prywatnie i zawodowo stykaliśmy się rokrocznie przy okazji warsztatów bluesowych w Bolesławcu, gdzie Wojtek był bardzo lubianym wykładowcą. Często rozmawialiśmy jak osiągnąć lepsze rezultaty w pracy (w życiu...). Efekty tego były widoczne we współpracy z wieloma wybitnymi postaciami, ale i w Jego solówkach. Tu przypomina mi się występ jego tria, zaprezentowanego na jednym z jamów w Bolesławcu, które zrobiło na wszystkich duże wrażenie. W mojej pamięci Wojtek pozostanie zawsze artystą i człowiekiem emanującym wielkim ciepłem, spokojem i wrażliwością. Taki obraz Wojtki wybitnego muzyka, gitarzysty i kolegi zachowam we wspomnieniach.

Jarek TRELIŃSKI, Wrocław, maj 2005

Wojtuś, bo tak najczęściej zwracałem się do Wojtki, był i nadal jest mi bardzo bliski. Wojtkę poznałem bliżej w 1994 roku, kiedy zakładaliśmy wraz z Nim, Robertem Szydło (b) i Arturem Dominikiem (dr) zespół Feeling Station.

Wojtek zawsze imponował mi swoją grą. Był gitarzystą-wirtuozem, do wszystkiego dochodził sam. Dysponował olśniewającą techniką, był niezwykle pracowity, ćwiczył bezustannie, dążył do maksymalnej precyzji i perfekcji. Jako samouk na własną rękę odkrywał wciąż nowe możliwości gitary. Odnalazł własny sposób wyrażania myśli poprzez ten instrument. Był wymagający wobec siebie, wiedział dokąd zmierza. Podkreślał konieczność ukazywania w muzyce własnej osobowości.



Uniting Force, od lewej: Wojtek Seweryn – gitara, Jurek Łaba – bębny, Robert Szydło – bas.

Wojtek był świetnym akompaniatorem potrafiącym słuchać innych muzyków, tworząc miejscami dopełnienie myśli muzycznych prowadzonych przez inny instrument. Zawsze pracował z największą starannością, dokładnością i z sercem.

Byłem dumny, że z Nim gram, wielokrotnie dawał mi wiarę w sens tego co robię.

Byliśmy dobrymi kolegami, odnajdującymi przyjemność w rozmowach nie tylko o muzyce, lecz także o zupełnie przyziemnych, życiowych sprawach. Bardzo sobie to cenię.

Wiem, że Wojtuś był zafascynowany kinem z gatunku science-fiction. Uwielbiał polskie filmy z lat 60. Był pogodny, czasami liryczny i romantyczny, często promieniował ludzkim uczuciem i ciepłem. Delikatny, czasami nieśmiały i zamknięty w sobie, skromny, ale w pełni świadomy swoich dużych umiejętności.

Robert SZYDŁO, Wrocław 2005

Znałem Go od czasów, gdy byliśmy nastolatkami. Uniting Force to był pierwszy Jego i mój zespół. Potem był Feeling Station. Pamiętam Go z tamtych czasów jako gościa

bardzo stonowanego, bardzo skromnego, człowieka, w którym wszyscy z zewnątrz zauważali talent i wypychali do przodu, zapraszali na warsztaty w kraju czy za granicą. On sam nigdzie się nie przepychał, by promować własne nazwisko, nie szukał rozgłosu. Nie miał mechanizmu autopromocji, po prostu siedział w domu i ciężko pracował, a jeśli do czegośkolwiek dochodził to wtedy, gdy inni dostrzegali jak świetnie grał. To była piękna cecha.

Leon BROKOS, Wrocław, maj 2005

Ponad 10 lat wspólnych wojaży po Polsce wytworzyło w zespole specyficzny sposób spędzania czasu poza próbami i koncertami. Historia, którą chcę przypomnieć, stworzyła pewne powiedzenie, które na lata pozostało z nami. Pełnia lata, przyjeżdżamy do Olecka, miasteczko urocze, jezioro i niemożliwy upał. Wojtek i Artur chcą się kąpać na środku jeziora. Znając gorliwość prowincjonalnych ratowników, wiem, że będą interweniować, co staram się chłopakom wyjaśnić – będą jaja! Oni ripostują: „dziadek nie pęka! w życiu!”, więc nie pękam i płynięmy. Wykrałem, pruje do nas łódź. Wojtuś i Artur wykonalni tzw. krokodylki, oczka i czupryniki



Feeling Station, od lewej: Wojtek Seweryn – gitara, Jarek Trelinski – gitara, Artur Dominik – bębny, Robert Szydło – bas.

wystają nad powierzchnię, a ryjki pod wodą. Ja lekko uniosłem nad wodę swoją tysiąć głęce z siwą brodą, aby negocjować. Ratownik rzekł słowami, które weszły do późniejszej tradycji naszych kąpielni, „Taki stary, a dzieci wyciągnął na środek jeziora, a tu 37 metrów i co potem robić?”... Kiedykolwiek pływalimy gdzieś w Polsce nie omieszkali chłopcy, „ryjąc się”, cytować słowa ratownika: „taki stary, a...”.

Wojtek „Olo” OLSZEWSKI, Warszawa, kwiecień 2005

Próbuję przypomnieć sobie, kiedy poznałem Wojtkę, widzę, że jest to niemożliwe! Mam wrażenie, że znaleźliśmy się od zawsze, mieszkaliśmy kilka bram od siebie. To samo podwórko, boisko do „nogi”.

Nasza bliska więź trwała wiele lat. Pierwsze zespoły Cesarskie Cięcie i Olek Band zakładaliśmy razem. Wojtek od samego początku swojego „gitarowania” wykazywał niesamowity talent improwizatorski. Była w tym jego młodzieńczym graniu niesamowita energia, szczerość. On nie „zrzynał” czyichś fraz, zawsze grał po swojemu i takim pozostał do końca swego, za krótkiego życia.

Bardzo wiele znaczył dla mnie i za wiele rzeczy pozostane mu wdzięczny na zawsze.

Marek „Stingu” POPÓW, Wrocław, kwiecień 2005

Z Wojtkiem poznaliśmy się na początku lat 80, w chwili, kiedy obaj byliśmy zafascynowani wszystkim, co było związane z gitarą. Na początku był oczywiście nieśmiertelny blues. Było nas kilku: Olo, Piotrek, Maciek, Jazzol, Przemek i Janik. Na ulicach była przeraźliwa nuda, nie było tylu knajp co teraz – komuna szalała. Jedynym azylem i ucieczką przed tym wszystkim była muzyka, która jak balsam chroniła nas od „podrażnień” ówczesnego świata.



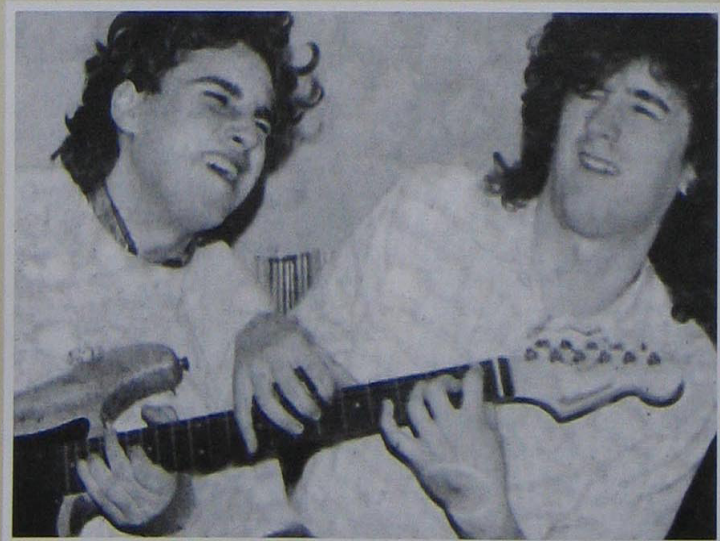
JOKER. Od lewej: Wojtek Seweryn – gitara, Marek „Stingu” Popów – gitara, Wojtek „Olo” Olszewski – bas, niewidoczny na zdjęciu Darek Biłyk – bębny.

Jeżeli dodać do tego łączącą nas przyjaźń mogę teraz stwierdzić, że były to dla mnie wspaniałe czasy.

Z moich częstych wizyt u Wojtki w pamięci zapadła mi scena, której nigdy nie zapomnę, wszedłem do toalety i nie mogłem rozpoznać płyty, którą „puścił” Wojtek. Po wejściu do pokoju byłem zszokowany tym, co zobaczyłem. To nie była płyta, to Wojtek niesamowicie grał na gitarze. Było to fantastyczne z jaką łatwością wydobywał piękne dźwięki ze wspaniałą techniką. Zrozumiałem wtedy, że dostał od Boga ogromny talent i było dla mnie kwestią czasu, kiedy świat się o tym dowie.

W czasie naszej wspólnej drogi zakładaliśmy kilka kapel. Najfajniejsza była ta, kiedy godzinami wymyślaliśmy i ćwiczyliśmy pasáže gitarowe, które dzięki naszej ciężkiej pracy graliśmy na koncertach bez żadnego wysiłku.

Patrząc z perspektywy czasu mogę stwierdzić, że Wojtek wywarł na mnie ogromny wpływ, zarówno jako człowiek jak i artysta. Nie zapomnę Wojtki i naszej historii życia.



Wojtek Seweryn z Wojtkiem „Olem” Olszewskim

Maciek GODZIK, Frankenberg, kwiecień 2005

Moja przygoda z Wojtkiem zaczęła się na początku lat 80. Nagrywaliśmy wtedy z grupą Vincent i moja gitara oddała ducha. Wojtek, który przypadkowo był przy nagraniu, użył mi swojego Stratocastera, co mnie zaskoczyło. Przez następne dwa lata widywaliśmy się przynajmniej parę razy w tygodniu. Wojtek odrabiał wojsko w jakimś szpitalu, a ja mieszkalem 'po drodze'.

Obaj byliśmy gitarzystami i obaj mieliśmy starsze od nas dziewczyny. Później również, prawie w tym samym czasie, urodziły się nasze córki. Te wspólne sprawy zbliżają.

...nasze ostatnie spotkanie w Salzburgu. Jestem przekonany, że to nie koniec i kiedy na mnie przyjdzie czas, będę czekał z podłączoną gitarą, żeby wspólnie pomuzykować w niekończącym się jammie.

Jurek DROZD, Barcelona, maj 2005

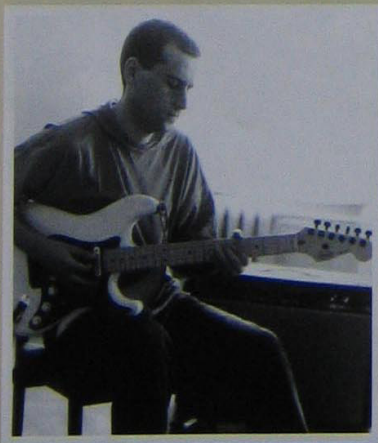
Witaj Wojtku. Już wiele czasu minęło od naszego ostatniego spotkania. Te długie rozmowy o muzyce, gitarach, o Twoich czy też moich projektach, zawsze było miejsce na wszystko, na każdy temat. Nawet takie, jak Twoja fascynacja starożytnym Egiptem, czy też Twoje zdolności kucharskie.

Muszę przyznać, że Twoja filozofia życiowa, poglądy na tematy tak różnorodne jak wiara w Boga, zrobiły na mnie mocne wrażenie. Mieliśmy wtedy 18, no, może 19 lat?

Już wtedy Twój talent sprawiał, że wielu z nas czuło do Ciebie niesamowity respekt, respekt jaki czuje się do prawdziwego artysty.

Artur DOMINIK, Wrocław 2005

Zaczelismy zabawę w dźwięki jako nastolatkiwie i cały czas mam w pamięci próby o ósmej rano. Wojtek pojawiał się z teczką szkolną, gitarą, smacznymi kanapkami. Oczywiście kończyliśmy zgodnie z harmonogramem zajęć szkolnych tak, aby rodzice nic nie podejrzewali.



Warsztaty muzyczne „Blues nad Bobrem”.

Był świetnym kompanem do zabawy, nocnych dyskusji jak i rzetelnej pracy.

W mojej pamięci Wojtek pozostanie wesołym, bardzo zdolnym młodym człowiekiem, energicznie wspomagającym różne projekty, ale mocno dążącym do realizacji własnych priorytetów.

Nasze spojrzenie na materię muzyczną, jak i życiową znacznie się różniło, ale zawsze byliśmy w stanie znaleźć wspólną nić porozumienia.

Andrzej GÓRALSKI, Wrocław, marzec 2005

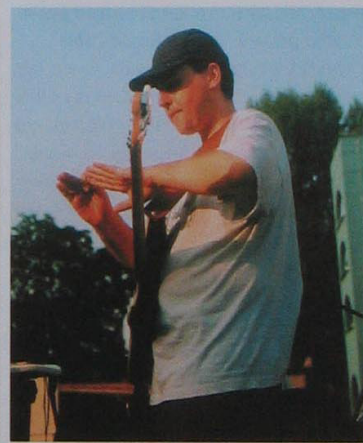
Ktoregoś dnia spotykam Jurka Łabę, podekscytowany oznajmia, iż szperając w gromadzie dobrze zapowiadających się młodzików, zmontował super grupę z pogranicza jazzu i rocka. Jurkowi, znakomitemu bębniarzowi, towarzyszyć mieli: Robert Szydło (bas) i Wojtek Seweryn (gitara).

Dotarłem na próbę zespołu, Uniting Force. To, co usłyszałem, zapadło mi w pamięć. Pewne i niezwykle precyzyjne dźwięki UF, zbudowane na solidnych, tradycyjnych fundamentach tworzyły nowoczesną, choć niezbyt łatwą w odbiorze muzykę. Zwróciłem uwagę na gitarzystę – skupiony, skryty chłopak z niesamowitą techniką i „czujny”. Mimo znacznej różnicy wieku nasza znajomość stopniowo się zacieśniała.

Wojtek konsekwentnie umacniał swą pozycję i pomimo pokus, nie rozmieniał się na drobne. Kolejne, autorskie grupy Joker, Feeling Station, a także współpraca z Janerką, Baronem, Popkiem, Fiolką, Anią... świadczyły o tym dobitnie.

Owe przedsięwzięcia nie tylko posilkowały się Jego grą, ale też korzystały z coraz bardziej dojrzałych kompozycji, aranżacji, a później również z talentów producenckich. Co ważne, Wojtek nie zamierzał wcale skrywać tego bogactwa tylko dla siebie. Uruchamiając kolejny, tym razem edukacyjny tor działalności, obszerną wiedzą i własnymi przemyśleniami zaczął dzielić się z młodymi adeptami gitarowej profesji na warsztatach muzycznych m.in. w Chodzieży, Koninie i Bolesławcu.

Aktywnie współpracował też z ciekawym, nieistniejącym już niestety periody-



kiem „Obszary Dźwięku”. Ale za najbardziej doniosłe wydarzenie tego okresu należy uznać publikację pionierskiej na naszym rynku wydawniczym, poszukiwanej do dziś, 2-tomowej szkoły gitarowej. W zarysach powstał też projekt trzeciego woluminu tej serii, z moim, niewielkim udziałem w części techniczno-sprzętowej.

Agnieszka Piasecka, Festiwal Blues nad Bobrem

Wojtek po raz pierwszy przyjechał na warsztaty Festiwalu Blues Nad Bobrem w 1994 r. Stały się one dla niego nie tylko dobrą zabawą, ale również, czasem ciężkiej pracy.

Dzisiaj mogę przyznać, że organizatorów zainteresował również fakt, że Wojtek uczestniczył w Mistrzowskich Warsztatach Muzycznych zorganizowanych przez Kopenhaskie Konserwatorium w Danii, gdzie trafił w drodze eliminacji z grona najlepszych gitarzystów w Polsce.

Młody, zdolny i skromny. Te trzy określenia chyba najlepiej opisują Wojtkę. Młody swoim wiekiem i wyglądem, niespecjalnie wyróżniał się na tle warsztatowiczów, swoich uczniów. Zaproszenie Wojtkę do współpracy okazało się przysłowiowym strzałem w dziesiątkę. Poznaliśmy nie tylko autora podręczników odsłaniających tajemnice techniki gry takich gigantów, jak: P. Gilbert, J. Satriani, S. Vai czy N. Bettencourt, ale i

świetnego człowieka. Prezentował początkującym muzykom i uczestnikom naszej imprezy techniki legatowe, sweep i skipping, zachowując przy tym duży szacunek dla samej muzyki i młodych twórców oraz ogromny dystans do samego siebie.

Paweł KAMECKI, Wrocław, maj 2005

Wojtuś... List do Ciebie ostatni...

...Wiem, że to Ci się nie spodoba, ale to, że „Dobry Bóg” nam Cię zabrał to wał poniżej pasa..., w najlepszym razie (dla wrażliwych chrześcijan) – nieudany dowcip... Wielu z nas nie może się pogodzić z tym, że piczkaś tam jakieś menuety zamiast z nami po staremu grać rocka...

Wojtuś... zaszczytem było Cię poznać, mimo kurtyny jaką miałeś dla wielu...

Dzięki za wszystkie pofisiowane epizody... Dzięki za ploty... (myślę, że większość, którzy to czytają byli z nami...). Dzięki za sobotnie pierogi w podejrzanym barach, za wyprawy do mechaników... (...ich mać); jako miłośnicy automatów, byliśmy prawdziwymi twarząmi...

Dzięki za wszystkie gitarowe zjeby... bez nich błędziłbym jak pierdoła..., gryf pamiętasz?... naście razy poprawiany... Hee. „... jak na lakiernika, może być.”; szyderca...

Aż przyszły te parszywe dni, gdy nie-ludzkim wysiłkiem było siedzieć przy Twoim łóżku... śmiać się, kląć, silić się... kurwa na jakieś dowcipy i udawać, że jest git...

A gdy nadszedł czas na Twój ostatni szpital, gdy po raz ostatni znośłem Cię po schodach, każda sekunda była tak droga...

Pamiętaj, że to nie koniec...



Wojtku, przekonanie, że Tam „wszystko się zgadza” pozwala nam łatwiej znieść Twoją nieobecność.
Przyjaciele